

# Kronika

## tygodniowa

Najodpowiedniejszym tematem trzeciego rozmyślenia wielkopostnego wydają się kronikarzowi sprawy aprowizacyjne. A to z dwu powodów. Po pierwsze można na ich tle śpiewać prawdziwe „gorzkie żale” i to nawet bardzo cienko, po drugie zaś, mają one coś wspólnego z karnawalem, którym zajmowaliśmy się w ubiegłym tygodniu. Wspólność ta polega zaś na tem, że w karnawale „rozkakalo się” na dobra nasze społeczeństwo a zarażyły się tem widocznie i ceny najniezbędniejszych artykułów codziennego użytku, skaczą bowiem zapamiętale, a nikogo niema, kto powie im chociażby, że to nie wypada, bo to już wielki post.

Dziadwo i ojcowie nasi pościli w tym okresie bardzo sumiennie, ale dobrowolnie, wychodziło im to też na duchowy i cielesny pożytek, my pościmy rok cały, lecz z musu. Taki post i duszy nie zbawi i ciała nie pomoże. Dotychczas wiedzieliśmy, że najrudniej przeżyć „przednowek”, obecnie przekonujemy się, że on u nas trwa rok cały, że zatem wielkiego postu mamy nie sześć tygodni lecz pięćdziesiąt dwa.

Z okazji owego sześćtygodniowego postu wydał Kościół dyspensę, łagodzącą dotychczasowe przepisy i pozwalającą na przykład na użycie w tym czasie bez szkody dla zbawienia (tzn. z w przedtem zakazanych (słonina, smalec... o ile naturalnie kogo stać na to, aby się w nie mógł zaopatrzyć, gdyż i ich ceny bardzo „skaczą”), rząd warszawski nie jest na tyle względny i o ile to dotyczy owego drugiego postu, trwającego rok cały, obostrza stale przepisy, dyspensy żadnej nie udziela, nie powołuje się przecież nażem zbawieniem, lecz chciałby się uwolnić od kłopotów, których powodem zaopatrywanie ludności w artykuły niezbędne do życia i płacenia podatków, kto bowiem umrze z głodu, ten już z całą pewnością podatku nie zapłaci. Najbardziej przypadłoby do gustu władzom aprowizacyjnym, gdyby tak można było wydać nakaz zupełnego wstrzymania się od jedzenia i picia. O czemś podobnym na razie jeszcze mowy niema, my jednak uprzedzamy rozporządzenie pana ministra aprowizacji i zaczynamy się przygotowywać zupełnie aeryo do absolutnej abstynencji od wszelkiego jada i napoju, a to dzięki bardzo racjonalnej gospodarce naszych władz aprowizacyjnych.

Wiadomo powszechnie, że, im maszyna jest bardziej skomplikowana, im więcej posiada kółek i kółeczek, tem częściej zawadzi. Zupełnie podobnie ma się rzecz z aprowizacją. Władza centralną jest ministerstwo, jemu podlega Rada aprowizacyjna dla Małopolski, są dalej urzędy okręgowe i lokalne, tak jednak niezbędnego artykułu, jak chleb, stale brak. W Krakowie chleba kontyngentowego nie widzieliśmy, a temsamem i nie jedli od kilku miesięcy (ciągle „jest w drodze...”), a na kupowanie pozakontyngentowego, po dwieście marek za bochenek, wystarczający dla rodziny, złożonej z kilku osób, *notabene* nie odznaczający się nadzwyczajnym apetytem, zaledwie na jeden dzień, stać nie każdego. Człowiek, żyjący ze statych dochodów, nie podskakujących w tym stosunku jak ceny, nie może sobie na to pozwolić, by wydać na sam chleb miesięcznie cztery tysiące marek.

Przed kilku dniami ogłosił magistrat rozporządzenie w sprawie bułek, oznaczając ich wagę i cenę (coś niemal ponad cztery marki za tulkę o wadze cztery deki), piekarze przecież nie wiele sobie robią z tego i wypiekają tulkę o wadze, jaka im jest wygodniejsza, a za sztukę liczą dziesięć marek, tak dla wygody swojej i nabywcy, aby się nie potrzebował starać o drobne.

To bezholowie wywołane jest nienależytym funkcjonowaniem bardzo skomplikowanej maszyny, która się nazywa ministerstwem aprowizacji. Jak błąga jest działalność tego urzędu, dowiedzieliśmy się z mowy nowego ministra Grodzickiego, który na posiedzeniu Komisji aprowizacyjnej przedstawił w tak wymownych słowach działalność swego poprzednika, iż dało to powód posłowi Ruchowi do zgłoszenia wniosku o postawienie byłego ministra w stan oskarżenia. Byli to jednak „strachy na Lachy”... Nowy minister w razie przyjęcia wniosku, zagroził dymisją i... sławka przepadła w wodę, bo jakże moglibyśmy się obejść bez głowy tak ważnego działu administracji...

Kto jednak wie, czy nie byłoby lepiej, gdyby wogóle tej władzy, w tak bezczelny sposób znęcającej się nad naszymi żołądkami, wogóle nie było. Czy nie byłoby korzystniejszy dla wszystkich, to jest: tak dla

rzędu, jak i dla obywateli, wolny handel zamiast tak rozwielenionego dziać „wolaego paska”?

Nad tem warto byłoby się poważnie zastanowić... Co do owych bułek, o których wyżej była mowa, należy zaznaczyć, że mają to do siebie, iż długo leżą w żołądku, a gdyby ktoś chciał w myśl słów Pisma św. „kto na ciebie kamieniem, ty na niego chleosem”, i użył w tym celu bułki za dziesięć marek, z pewnością nabiłby mu potężnego gaza, sprawozdawca zaś dziennikarski mógłby wówczas dowiedzieć, że cios zadany był narzędziem tępem, twardem.

Władzom aprowizacyjnym powinien dopomagać Urząd walki z lichwą, ten jednak przypomina bardzo wieloryba i poluje jedynie na drobne śladzie, grubszym pozwalając hulać bezkarnie.

Powie kto może, że „nie samym chlebem żyje człowiek”. Tak, to prawda... Ale tu chleb stanowił zawsze dodatek i uzupełnienie innych potraw, obecnie zaś, w braku ich, powinienby go zastąpić, jako najpopularniejszy i najłatwiejszy do nabycia, zwłaszcza w kraju rolniczym, środek codziennego użytku.

A jednak go brak, ten zaś, który się dostaje w „wolnym pasku” jest nie dla wszystkich dostępny.

Główną demokracją, zastanawiając się nad przyczynami braku chleba, o ile mu się uda, „zbadac” puszcz litewskich przepastne kraje...”, dojść musi w rezultacie do wniosku, że jest to tylko konieczne następstwo zbytnej mnogości władz, zajmujących się sprawami aprowizacyjnymi, z których żadna nie wie zupełnie stanowczo, co do jej zakresu działań należy, a choćby nawet i wiedziała, niaje nieświadomość, by sobie oszczędzić kłopotów, i odsyła interesowanych dalej, wiedzona naturalnie tylko troską o ich zdrowie, jako, że spacer wpływa dobrze na apetyt, a kto go ma, to dowód, że jest zdrow. Małej władzy aprowizacyjnych a więcej artykułów spożywczych, oto głos, idący prosto z... żołądka każdego, nie mogącego w dotychczasowych warunkach, choćby nawet i na głowie się postawił zgrzeszyć obłędem, chyba, że jest paskarzem, lichwiarzem lub czemś podobnym. Kronikarz ma jednak na myśl ludzi uczciwych a ci z zasady głodują.

Zdaje się, że nie poniosłby nikt szkody, gdyby wogóle te nabytki wojenne, w gacie Urzędów aprowizacyjnych, central, Pasterów i innych podobnych im administracyjnych działości, zniknęły zupełnie z horyzontu, stworzone są bowiem na pożytek i chwałę paskarstwa.

Gdy nasze żołądki podlegały Radzie małopolskiej, było źle, ale nas pocieszano, że się to poprawi, gdy się dostaniemy wprost pod opiekę szarych młodszych. Zamianowano nawet dyktatora żołądkowego dla Krakowa, o bardzo smacznej i pożywnym nazwisku, ale też i na tem się skończyło. Dyktator jest, chleba w dalszym ciągu brak.

Szoro zatem i tak źle i tak niedobrze, pozostaje jedna jedyna ewentualność: cały dotychczasowy system jako widocznie zupełnie celowi nie odpowiada, dający, gruntownie i rychło zmienić, to jest spróbować, czy wolny handel nie będzie korzystniejszy, choć to wielu protegowanych pozbawi ładnych dochodów, zbieranych kosztem naszych nieszczęśliwych żołądków.

Urząd walki z lichwą może nadal i powinien zostać, ale musi się poddać radykalnej operacji gardziela, by mógł polować i grubsze ryby, nie tylko śladzie, często całkiem niewinne w jego przeszczę wpadające. Wszelkie protekcyje i względy powinny włożyć w łeb, do nia powinien iść nie tylko zwykły sobie Gwizd, ale paskarze i lichwiarze o daleko piękniej brzmiących nazwiskach, bez względu na to, jakie zajmują stanowisko społeczne. Jest ono tylko bożnem ich zajęciem, głównie zaś paskiem i lichwą, wszyscy zaś paskarze i lichwiarze powinni być podciągani pod wspólny mianownik. Jeżeli u św. Michała mało dla nich miejsca, można opróżnić któryś z okolicznych bastionów. Wyjdzie im to na zdrowie, powróciwszy zaś będą mogli zupełnie szczerze opowiadać, że „bawili na świętem powietrzu”. Ci pośrednicy, tacy jako ów pierłnikarz, o którym swojego czasu pisaliśmy, że handluje sardynkami, nie mającymi chyba z pierłnikarstwem nic wspólnego, to wiśnięte hyeny najgorszego gatunku, żerujące na naszej szkodzie. Niech się więc tępici, a może położą się kres złemu, a ceny zaczną spadać także i u nas, nie tylko za granicą.

Że zaś Urząd walki z lichwą zadań swych nie spełnia tak, jak powinien, i że paskarze i lichwiarze nie mają wobec tego dla nich należytego respektu (zwłaszcza ci grubsi, wiedzący o tem, iż ich nie przeknie...), na to mamy dowody na każdym kroku.

Kilogram mięsa kosztuje o kilka mil od Krakowa sześćdziesiąt marek, u nas dwa i pół raza tyle, wobec czego musimy się zamienić z konieczności w jarosłów, ale takich, którzy potrafią się wogóle obejść bez jedzenia, skoro brak chleba, mleka, jarzyn i t. d. Różnicę stanowiłaby cena, jakie się im podoba, a władza próbuje ją pokornie.

W ich ślady idą i odprzedawcy i też robią, co się im podoba. Tę naprzykład za funt szynki, który kosztuje w masarni sto trzydzieści marek, płaci się w sklepie spożywczym (stady się nazywa „wlejska szynka”) sto czterdzieści, sto sześćdziesiąt, nawet więcej. To kronikarz skonstatował na własne swe oczy i klesze (gdyż jest tak lekkomyślny, iż od czasu do czasu pozwala sobie na podobne zbytki...) i dlatego zapytuje, czy ilema środka zaradczego, by podobnym nadzyciom kres położyć?... Czy Urząd walki z lichwą jest w tym wypadku bezsilny, czy krótkowzroczny?... Nie każdy ma tyle czasu, aby się mógł w masarni zaopatrzyć w wędlinę, nabywa ją zatem z drugiej ręki, w sklepie spożywczym, czy nie jest to jednak krzywda, o pomstę do nieba (i Urzędu walki z lichwą... przyp. zecera) wołająca? Rzecz prosta, że ten pośrednik musi coś zarobić (choć masarz daje mu odpowiedni rabat...) powinien mu jednak wystarczyć dziesięć marek na funcie, ale nie trzydzieści od razu. Im jednak interes kupiecki urządzony jest na większą skalę, tem i ceny są wyższe, aby gość wiedział, że jest w „pierwszorzędnym interesie”. Rzecz się ma tak, jak z niektórymi hotelami krakowskimi, które tytułują „pierwszorzędnymi” i każą sobie za to odpowiednio płacić, choć są to w pełnem tego słowa znaczeniu nory, jakich nie powstydziliby się pierwsza lepsza Papidówka.

W handlu „pierwszorzędnym” kazano kronikarzowi zapłacić za funt sto sześćdziesiąt marek, w skromniejszym kontentował się właściciel także i skromniejszym zyskiem. Wszarczyło dlań dziesięć marek na funcie.

W innym znów handlu, także „pierwszorzędnym”, paszusia huroaty, która w ubiegłym jeszcze tygodniu kosztowała dwadzieścia pięć marek, podskoczyła nagle na czterdzieści, choć nie pochodził bynajmniej z nowego transportu, lecz ze starego. Ale przewidujący kupiec, wiedząc o tem, że następna posyłka będzie droższa (choć ceny za granicą spadają...), stara się do tej podwyżki odbiorę już z góry przygotować. O ile jednak cena jakiegos towaru się obniży przypadkiem (co należy, niestety, do rzadkości...), nie zapomni o tem, że zapas starego należy wysprzedać po wyższej cenie, bo tak wypada z jego kalkulacji.

A wobec tych ich praktyk jesteśmy bezsilni i to właśnie dzięki bezsilności lub krótkowzroczności Urzędu walki z lichwą.

Tę jedno musi się przecież przyznać naszym władzom aprowizacyjnym, że papiera, choć jest taki drogi, na wydawanie rozporządzeń nie żałują. Niestety, rozporządzenia te zostają przeważnie na papierze, ci bowiem, do których są zwrócone, zbyt ich sobie nie biorą do serca, wychodząc z zasady, że papier jest cierpliwy, władza jest od tego, aby zarządzenia wydawała, a oni, aby robili, co się im podoba.

Nawołuje się wprowadzić także i kupującą publiczność, aby i ona stosowała się do postanowień, artykułów niezbędnych do życia nie przepłać, a o każdym nadzyciu w tym kierunku zawiadamiać władzę. Łatwo to jednak powiedzieć, a nawet wydrukować, daleko trudniej w czyn zamienić. Bez jedzenia nie naużyliśmy się jeszcze obywać zupełnie, choć podobno czynione są w tym kierunku w Warszawie doświadczenia, a z żołądkiem musi się obchodzić każdy bardzo ogólnie, gdyż on bardzo energicznie upomina się o swe prawa, gotów stać do obstrząsania, a nawet rewolucji, gdyby go pokrzywdzono.

Każdy zaś, kto w samej rzeczy chciałby władzę niepokoić doniesieniami o lichwie żywnościowej, musi być na to przygotowany, że potem nikt mu nie nie sprzeda i zginać musi głodową śmiercią. Coś podobnego dałoby się przeprowadzić tylko w tym wypadku, gdyby cała ludność postępowała solidarnie, ale o to niema obawy. Żołądkowi musi się dogodzić, niech kosztuje, co chce, płaci się też, ile paskarze lub lichwiarze zażąda. Piękny przykład dają w tym kierunku nasi wieśniacy, nie liczący się z groszem, o ile rochochł się o zaopokojenie swych potrzeb, o jakich się im dawniej nawet nie śniło. Żadna cena nie jest dla nich za wysoka, znają... koniaczek, dobre cygara, wonne mydła, zwłaszcza, że za to płaci właściwie ten miejski głodomor, zdany na ich łaskę i niełaskę.

Ala trudno!... Tak być widocznie musi, bo przecież Polska ma być chłopską...

